

Turcja (Część I)

Wiosną 2014 udało się zorganizować kolejny wypad na ptaki. Jego celem była południowo-wschodnia Turcja. W ciągu kilku dni (27.05-05.06.2014) postanowiliśmy zajrzeć w najbardziej znane (ptasio) miejsca w tym regionie kraju. W składzie Jacek Tabor, Marcin Łukaszewicz, Roman Stelamch, Robert Hybsz i Radosław Kozik, 27 maja spotkaliśmy się na lotnisku w Warszawie.

Przelicznik : 1 TRY(lira)=1,42 zł (przyda się przy przeliczaniu podanych w tekście cen)

Wylot (27 maja) z Warszawy 12:55 był punktualny. Do Stambułu dotarliśmy około 16:30 czasu lokalnego (w Turcji przesunięcie to godzina do przodu względem Polski). W Stambule przesiadka na lot do Adany, krótki postój na lotnisku i tani obiad w Botanik Cafe (18 TRY/os.). Jadają tam pracownicy lotniska a turystów dociera niewielu. Zlokalizowany jest na uboczu stanowiąc dobrą opcję na przetrwanie postoju pomiędzy lotami. Wieczorem około 21:00 wylądowaliśmy w Adanie. Pierwsze straty ponieśliśmy już na początku, „Woda źródłana” Roberta uległa gwałtownemu rozszczelnieniu podczas wylądunku i wokół naszej grupy rozeszła się woń dobrze zdezynfekowanego wnętrza plecaka.



Widok sprzed domku na pierwszym noclegu w Cukurbag (fot. J. Tabor)

Samochód wynajęliśmy zdalnie jeszcze w Polsce. Korzystaliśmy z takiej opcji już kilka razy podczas wcześniejszych wypraw (wypożyczalnia rentcar). Samo lotnisko w Adanie jest dość małe a strefa przylotów i odlotów to dwa oddzielne budynki. Po załatwieniu formalności z wynajęciem auta (zrobienie zdjęć, wskazanie zadrapań wynajmującemu itp.), zapakowaliśmy się i ruszyliśmy do miejscowości Demirkazik położonej około 80 km na północ od Adany, gdzie dotarliśmy (początkowo autostradą a potem lokalną asfaltową drogą) około 1 w nocy. Na miejscu czekał właściciel, który pokazał nam kwaterunek na kolejne dni. Pierwsze dwa noclegi mieliśmy zarezerwowane w miejscowości Cukurbag (37°49'26.87"N, 35° 3'5.88"E). Camping był bardzo malowniczy chociaż dość drogi (najdroższy na wyjeździe-ceny ustalone przez internet, zamiast TRY okazały się EUR, ale pomimo to i tak niezbyt wygórowane). Za dwa noclegi ze śniadaniami i obiadokolacją zapłaciliśmy 300 EUR, czyli po około 130 zł za noc od osoby.

Poranek (**28 maja**) przed domem zapowiadał udany dzień. O świcie przed naszymi domkami intensywnie śpiewał **wróbel skalny**.



Wróbel skalny śpiewający pod domkiem w Cukurbag (fot. R. Kozik)

Wyjście w góry rozpoczęliśmy od granicy miejscowości Demirkazik, gdzie zostawiliśmy samochód. Dalej udaliśmy się pieszo.



Początek trasy w góry w okolicach Demirkazik (fot. R. Kozik)

Przejście dość dużej pętli zajęło nam cały dzień. Niewielkie zadrzewienia znajdowały się jedynie w dolinie gdzie obserwowaliśmy **bialorzytki białogrzbiecie, kłaskawki, ortolany, głuszki**. Ponadto przy samochodzie licznie obserwowaliśmy żerujące i ganiające się susły. Powyżej strefy drzew i krzewów obserwować można było **wieszczki, wronczyki, kulczyki królewskie** (potem również na skraju zabudowy).



Pniemy się w górę, od lewej Hybsz R., Stelmach R. (fot. R Kozik)



U podnóża masywu górskiego, miejsce występowania ulara kaspijskiego, po lewej Hybsz R. :-) (fot. R. Kozik)



Nagórnik (fot. R. Kozik)



Ofiary gór (fot. R. Kozik)

Wspinając się w górę stwierdzaliśmy kolejne ciekawe gatunki jak: **nagórnik**, **śnieżka**, **kurhannik**, **bialorzytka płowa**, **górniczek**, **jaskółka skalna**, **góropatwa azjatycka (A. chukar)**, **pomurnik** i **gilak ciemnogłowy**. Słyszeliśmy (jak się nam na początku wydawało) również kuliki wielkie. Jednak, jakby niedokończony gwizd kulika okazał się głosem gatunku, dla którego udaliśmy się w to właśnie miejsce, **ułara kaspijskiego** (zorientowaliśmy się dopiero następnego dnia). Zataczając pętlę dotarliśmy do podnóża potężnego masywu gdzie pasły się konie i docierała nawet niezłej jakości droga szutrowa. Droga w dół okazała się niezłym wyzwaniem. Potężny kanion przytłaczał swoim ogromem. Schodząc w dół po

stromych, krętych zboczach nie mieliśmy pewności czy szlak doprowadzi nas do wyjścia (perspektywa powrotu tą samą trasą trochę nas elektryzowała). Na szczęście na dole wąwóz rozszerzył się i po korycie okresowej rzeki wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń.



Początek drogi w dół od lewej Łukaszewicz M., Stelmach R. (fot. R. Kozik)



Wejście (w naszym przypadku wyjście z kanionu), od lewej Łukaszewicz M., Stelmach R. (fot. R. Kozik)

Na dole poza licznymi susłami biegającymi w poszukiwaniu pokarmu, spotkaliśmy uprzejmego strażnika parku, który skasował nas za wejście (choć już wychodziliśmy☺). Cena samego wejścia nie była wygórowana(5TRY/os.), jednak koszt robienia zdjęć lub

filmowania był nieporównywalnie wyższy (100 TRY/aparat) (całe szczęście, że tylko dwa aparaty były na wierzchu, reszta wylądowała chwilę wcześniej w plecakach). Po krótkim targowaniu i ogólnych trudnościach komunikacyjnych na linii językowej polsko-tureckiej udało się zamknąć sprawę w 100 TRY (za wszystko).



Wszędobyłskie susły (fot. R. Kozik)

Tego dnia udaliśmy się jeszcze w okolice miejscowości Pinarbasi, gdzie u podnóża masywu obserwowaliśmy **iranki, białorzytki płowe, górniczki, lutniczkę wschodnią, trznadla czarnogłowego, kowalika skalnego**. Wieczorem wróciliśmy na camping. Kolejny dzień miał zaowocować mnóstwem wrażeń, plan obejmował próbę wjechania o świcie na szczyt (tzn. do miejsca gdzie byliśmy dnia dzisiejszego) naszym samochodem i obserwacje **ułów kaspijskich**. Przed kolacją na której miały pojawić się specjały lokalnej kuchni, właściciel pola poprosił o paszporty w celu spisania naszych danych do celów ewidencyjnych.

... uczucie gorąca, kiedy nie mogłem znaleźć swoich dokumentów rosło z każdą sekundą. Najpierw standardowo szukanie powoli, potem w panice, znowu powoli w rzeczach ludzi z ekipy, w samochodzie, wokół campingu..... no i kolacja już mi nie smakowała☺ (a ponoć była dobra –makaron z serem do tego kefir z czosnkiem, plus sos własnej produkcji).

Na włosku zawisł program wyjazdu, scenariusz zgubienia paszportu to jeden z mniej przyjemnych, którego zawsze się obawiam (generalnie problem do rozwiązania, ale trzeba było by wybrać się do ambasady w Ankarze, co rujnowało nasz i tak napięty plan wyjazdu). Był wieczór i poza roboczym planem na następny dzień i snem (który tak łatwo nie przyszedł), nic więcej nie pozostało (no może poza piwem na rozluźnienie).

O świcie (**29 maja**) wyruszyliśmy na **ułąry kaspijskie** i przed wschodem słońca byliśmy już na miejscu. Ford na krętej górskiej drodze sprawował się nieźle, chociaż prę razy zawadziliśmy podwoziem o kamienie. Czasami też ze względu na stromy podjazd wychodziliśmy z samochodu i jeden z nas jako kierowca sam pokonywał krótkie odcinki. Na miejscu ułary dały się usłyszeć od razu. Po krótkim czesaniu lornetkami udało się również wypatrzyć ptaka spacerującego po żlebie dość daleko od nas. Kiedy chłopaki cieszyli oczy, ja w głowie miałem tylko jedno (odnaleźć paszport). Postanowiłem zajrzeć w większość miejsc, w których dnia poprzedniego robiliśmy przystanki i wyjmowałem coś z plecaka, niestety bez rezultatu, jedyny miły akcent to **płochacz pstry**, którego jako jedyny zaobserwowałem

wracając do samochodu. Kiedy spotkaliśmy się przy aucie postanowiłem, że wrócę po trasie naszego poprzedniego wejścia i z resztą ekipy spotkamy się na dole. Poza kilkoma cieszącymi oko obserwacjami **wieszczków, iranek, białorzytek białogrzbietych** i autochtonów spędzających stada owiec w dolinę, poszukiwania paszportu nadal paliły na panewce. Na campingu zrodziła się myśl, że paszport został na lotnisku podczas zamieszania z samochodem w wypożyczalni. Niestety próba dodzwonienia się na którykolwiek z podanych przez wypożyczalnię numerów alarmowych nie przynosiła rezultatu, telefon milczał. W końcu gdy ktoś odebrał, łamaną angielszczyzną odpowiadał na pytania zdawkowymi *yes, yes, oki, oki, my frends* (co swoją drogą powtarzało się podczas całego wyjazdu, gdy ktoś nie miał pojęcia o czym mówimy☺). Dobrze, że samochód mieliśmy sprawny i wytrzymał cały wyjazd bez awarii bo mimo, że mieliśmy pełne ubezpieczenie to w przypadku usterki problem nie był by tak prosty do rozwiązania☺. Wracając do rzeczywistości, przy śniadaniu (ciastka, dżemy, sery, tosty, kawa, herbata), które też jakoś nie przechodziło mi przez gardło. Poprosiłem o pomoc właściciela pola. Ze swojej komórki zadzwonił do wypożyczalni i pomimo, że rozmawiali po turecku po tonie głosu zrozumiałem, że jestem uratowany, paszport został na lotnisku. Tym miłym akcentem zakończyliśmy wizytę w Demirkazık i po rozliczeniu się za pobyt ruszyliśmy na południe w kierunku Adany a potem dalej na wschód. Chłopaki proponowali żebym zostawił paszport na lotnisku, bo wtedy na pewno nie zginie. Po całej akcji wywołałem w zespole coś na kształt psychozy i po każdym postoju, przed ponownym ruszeniem każdy sprawdzał czy paszporty są na swoim miejscu.

W drodze do Adany zatrzymaliśmy się w losowym miejscu, gdzie droga przebiegała przez rozrzedzone lasy sosnowe. Po wyjściu z samochodu od razu zaobserwowaliśmy **sikory żałobne**. Chwile później udało się wywabić **kowalika tureckiego**. Po krótkim spacerze do listy gatunków dołączyły **dzierzba białoczelna** i **zaganiacz błady**, którego oznaczyliśmy głównie po głosie.

Po dojechaniu do Adany udaliśmy się do marketu na większe zakupy, potem na lotnisko po paszport. Będąc w mieście postanowiliśmy odbić na parę godzin na południe, w stronę wybrzeża. Na trasie z Adany zatrzymaliśmy się w jednej z przydrożnych knajpek koło małego zapomnianego cmentarza. Właściciel i obsługa potraktowali nas po królewsku. Był to jeden z najtańszych, najobfitszy i najsmaczniejszy posiłek na całym wyjeździe (szaszłyki z baraniny, grillowane warzywa, napoje, obowiązkowa herbata, zapiekane placki do mięsa, kilka rodzajów sałatek). Chłopaki z obsługi uwijali się jak mrówki serwując smakołyki, donosząc dokładki. Za całość zapłaciliśmy 67 TRY. Po posiłku przy wyjściu w celu obmycia rąk kelnerzy polewali dłonie eterycznym roztworem wody i cytrusów.



**Lasy sosnowe na trasie Demirkazik-Adana. Od lewej Tabor J., Stelmach R., Hybsz R.
(fot. R. Kozik)**



Kowalik turecki (fot. R. Kozik)

Syci i zadowoleni ruszyliśmy dalej na południe. Na pola uprawne z siecią kanałów odprowadzających wodę. Po wyjściu z samochodu dochodzą kolejne nowe gatunki jak: **drozdówka rdzawa, pirinia, czajka szponiasta, żwirowiec łąkowy, czapla modronosa, rybaczek srokaty**. W pobliskiej wiosce w poszukiwaniu zaganiaczy przy lokalnej szkole obserwujemy **bilbile arabskie**.



Obiad na wypasie dla czterech chłopów za jedyne 95 zł, od lewej: Łukaszewicz M., Tabor J., Hybsz R., Stelmach R. (fot. R Kozik)



Drozdówka rdzawa, pola na południe od Adany (fot. R. Kozik)

Dzień zbliżał się ku końcowi, ruszyliśmy dalej. Na obrzeżach Adany zatrzymaliśmy się jednak na d rzeką w przemysłowo garbarskiej dzielnicy. Pomiędzy budynkami stali podejrzani goście ze wzrokiem zabójcy co drugi☺ (poważnie strach było wysiadać, z samochodu, więc zwialiśmy). Pomiędzy zrujnowanymi budynkami wały się stosy padłych zwierząt z obdartą skórą. Przy jednym z takich truchel szczeniaki wraz z matką oddawały się beztrudnej zabawie. Pomimo oporów, intensywnego zapachu mocznika, i subtelnej nutki padliny postanowiliśmy wyjść na moment z auta. Zaowocowało to **łowcem krasnodziobym**, którego widzieli wszyscy oprócz mnie☺.

Z Adany ruszyliśmy na wschód. O zmroku dotarliśmy do miejscowości Osmaniye gdzie znaleźliśmy obskurny hotel w wąskiej uliczce naprzeciwko minaretu. Pokoje nie powalały, łazienki z klasyczną dziurą w podłodze też (delikatnie mówiąc) nie grzeszyły czystością. Większość z nas pomimo, że lepiliśmy się od brudu i potu, zrezygnowała z prysznicza tego wieczoru☺.

Po porannym śniadaniu (**30 maja**) ruszyliśmy w dalszą drogę na wschód. Docelowo planowaliśmy dotrzeć do rzeki Eufrat i miasta Birecik położonego na jej skraju. Po drodze jednak zatrzymaliśmy się w kilku miejscach w poszukiwaniu kolejnych ciekawych gatunków ptaków. Sieć dróg na trasie naszego przejazdu była nieźle rozwinięta. Poruszaliśmy się głównie autostradami z systemem automatycznego sczytywania informacji o pojeździe na bramkach przejazdowych (potrącili nam coś z tego tytułu po zwróceniu auta i powrocie do Polski). Często jeden/dwa zewnętrzne pasy były przeznaczone dla ciężarówek i wykonane z innego typu nawierzchni. Kolejny jeden lub dwa pasy były zarezerwowane dla aut osobowych. W górzystym terenie mijaliśmy też często awaryjne pasy zjazdowe z autostrady o żwirowym podłożu i z niewielkim podjazdem. Z tego co wydedukowaliśmy służyły one ciężarówkom, które przy zjazdach z pełnym obciążeniem miały np. awarię hamulców:-).

W jednej z przydrożnych knajp zatrzymaliśmy się na kawę. Parking obstawiony ciężarówkami, które namiętnie szorowali ich właściciele, wykorzystując do tego szczotkę do zamywania podłogi z przyczepionym do niej szlauchem. Po złożeniu zamówienia wyszliśmy na drugą stronę lokalu gdzie było ciszej i przyjemniej. Natychmiast pojawili się kelnerzy i trzymając się za ucho coś gestykulowali (angielskiego niestety nie znali). Po chwili dotarło do nas, że weszliśmy w strefę przeznaczoną wyłącznie dla kobiet. Cofnęliśmy się zatem grzecznie i usiedliśmy przy stolikach dla mężczyzn.



Trznadel popielaty (fot. R Kozik)



Gniazdo kowalika dużego (fot. R. Kozik)

Im dalej na wschód tym podziały mężczyzna/kobieta i ich rola w społeczeństwie była coraz bardziej kontrastowo zarysowana. Jeszcze w Stambule czy nawet w Adanie na lotniskach, kobiety (swoją drogą bardzo ładne) zajmowały często równorzędne stanowiska w obsłudze naziemnej, barach, sklepach, ochronie, chodziły odważnie z odkrytymi ramionami, w spódnicach, sukienkach, pokazując tatuaże. W kolejnych dniach doświadczyliśmy jak odmiennie wygląda sytuacja w małych miasteczkach i wsiach poza głównymi miastami, gdzie kobieta zawsze jest numerem dwa.

Pierwszy dłuższy postój zrobiliśmy w okolicy miejscowości Durnalik. Na krętej drodze prowadzącej do wyrobiska śmigały dziesiątki ciężarówek z ładunkiem. Droga była ciasna a komfort podczas mijania żaden. Zatrzymaliśmy się zatem na jednej z bocznych dróg i przełajem wykonaliśmy pętlę wokół tej drogi. Dość ubogo porośnięte skały z niewielką ilością drzew okazały się wystarczające dla kolejnych ciekawych ptaków: **zaganiacz pustynny, trznadel popielaty, kowalik duży, jaskółka rudawa**. Krótkie postoje w kolejnych miejscach zaowocowały arbuzem w sklepie, i nieogrodzonym (o naiwni) sadem czereśniowym☺. Obiad wypadł na obrzeżach sporego miasta Gaziantep, w dzielnicy przemysłowej. Sama knajpa może nie powalała czystością (w każdym razie sanepid by się ucieszył), ale obsługa i smak nie budziły naszych zastrzeżeń. Cały posiłek dla wszystkich to 75 TRY, więc dość tanio. W większości serwowane posiłki same w sobie były dobrze przyprawione. Do tego podawano najczęściej ostrą grillowaną paprykę, więc dezynfekcja organizmu toczyła się w nas nieprzerwanie przez cały wyjazd.

Najedzeni i wypoczęci w środku największego upału zorganizowaliśmy sobie jeszcze przebieżkę po okolicznych wzgórzach. Słońce paliło niemiłosiernie a odkryte części ciała przyjmowały kolejne porcje ciepła. Poza kilkoma gatunkami widzianymi wcześniej: **iranka, wróbel południowy, trznadel popielaty.. i podejrzenie gilaka bladego**, więcej nic nie udało się wypatrzeć.



Złodziej czereśni, z aparatem dla niepoznaki (fot. R. Kozik)

Po kolejnym dniu pełnym wrażeń potęgowało się uczucie, że spędziliśmy tu już parę tygodni, a to dopiero trzeci dzień wyjazdu. Pod wieczór docieramy na obrzeża Bireciku, zatrzymujemy się w hotelu na zachodnim brzegu, tuż przy moście.....



Zachodni brzeg, Birecik (fot. R. Kozik)

ciąg dalszy nastąpi.....

Tekst: Radosław Kozik